RÓK DRUGI.

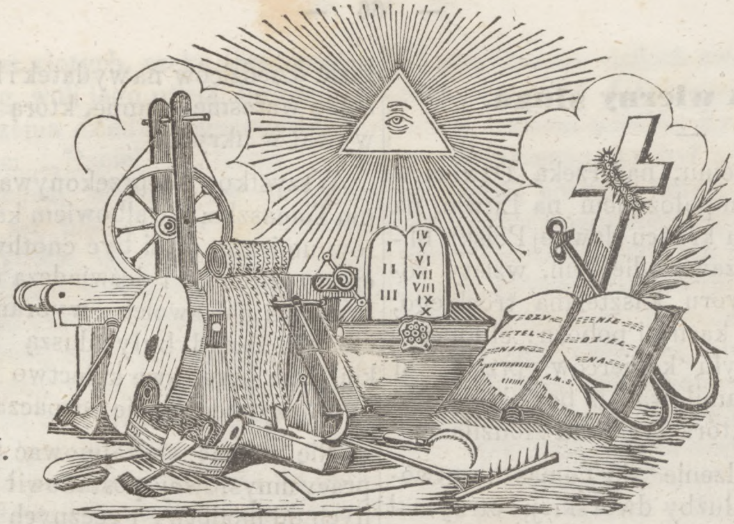
№ 9.

Warszawa

Dnia 17 Lutego
(1 Marca)
1857.

Niedziela

1sza POSTU.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80 półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Zwróć oczy na samego siebie, a o cudzych sprawach sądu unikaj. W sądzeniu o innych próżno się człowiek trudzi, a często błądzi i grzeszy; sądząc zaś i roztrząsając samego siebie, zawsze pracuje z pożytkiem. (O naśladowaniu Chr. Ks. 1 Rozd. XIV).

Siedm słów Zbawiciela na krzyżu.

Isze Słowo: *Ojcze! odpuść im, boć nie wiedzą, co czynią.* (Łukasz rozd. 23 w 34)

Wisi na krzyżu Chrystus bez winy,
Krwawa już męka spełniona;
Czoło Mu gniecie wieniec z tarniny,
W niebo wyciągnął ramiona.

A u stóp krzyża tłum ludu mnogi
Jak brudna fala przepływa;
Stoi wśród niewiast drżących od trwogi
Marja z boleści pół żywa!

Szczękają zbroje nieludzkich straży,
Tętnią rumaków kopyta,
Każdy bluźnierstwem Pana znieważy,
Urąga, szydzi i pyta:

„Jeśli królewskie nosisz znamiona,
Jeśli prawdziwe twe słowo,
Zstąp z krzyża, rozwal gmach Salomona,
Zbuduj go w trzy dni na nowo!"

„Gdy moc nadziemską Pan ci udziela,
Nim zdołasz zbawić ród Izraela,
Gdy ojcem twoim Bóg w niebie,
Czemu nie zbawisz sam siebie?

Pociekł pot krwawy z Chrystusa czoła,
Jednak morderców nie wini,
„*Przebacz im, Ojcze*! z miłością woła,
Wszak lud ten nie wie, co czyni."

Słyszą modlitwę bluźniercze zgraje,
Z rozpaczą, z trwogą, ze drżeniem,
Łotr ciężkie Panu winy wyznaje,
I łzy wylewa strumieniem.

A Pan grzesznemu łaskę przyrzeka,
Bo miłosierdzia zdrój Boży
Cudem obmywa serce człowieka,
Skoro się człowiek ukorzy.

I my też, bracia! korzmy się szczerze,
A gdy łzy nasze popłyną,
Nowe zawrzemy z niebem przymierze;
Bo Niebo wiernych dziedziną!

Tomaszek wierny sługa.

—

Kilkadziesiąt lat temu, nad rzeką Dźwiną w Krasławiu, miasteczku położonem na Litwie, na zachodnio-północnym krańcu dawnéj Polski, blisko sto mil od Warszawy odległem, wzięty został z włości do dworu kasztelana trockiego, Tomaszek Przełucki, karny i pobożny chłopczyna. Oddany do fabryki kobierców przywykał do pracy, którą tak zamiłował, iż bez niej obejść się już nie mógł, a która życie mu słodziła.

Wzorowe prowadzenie się Tomaszka otworzyło mu wstęp do służby dworskiéj; otrzymał miejsce frotera, wolne momenta poświęcając zawsze robocie kobierców, i innym zatrudnieniom, bo praca stała mu się już nałogiem. Z własnéj chęci nauczył się zaprawiania farb, malowania, bejcowania, robienia pokostu; wyuczył się szklarstwa, ślusarstwa i innych rzemiosł, potrzebnych w każdém domostwie .— Państwo Tomaszka przekonawszy się o wierności, poczciwości i pobożności jego, powierzyli mu nadzór swojego zamku i wszelkich składów, wynosząc go na stopień murgrabiego. Z jakąż wdzięcznością przyjął on ten nowy dowód położonego w nim zaufania, i z jaką wiernością i akuratnością nowego obowiązku dopełniał, świadczyć mogą współkoledzy jego i potomkowie kasztelana, którym przez trzy pokolenia wiernie służył. U towarzyszy swoich, i mieszkańców miasteczka różnych wyznań, tyle zyskał Tomaszek zaufania, iż ci w różnych sprawach i sporach na jego sąd się zdawali.

Tak przeżywszy z górą sześć dziesiątków lat czynnych i pracowitych, razu jednego, gdy zajmował się w swym pokoju tarciem farb i odmawianiem pacierzy, z wielkim pukiem zapadł się sufit, przywalił poczciwego starca gruzem, i nabawił go kalectwa. Odniesiony do szpitala Siostr miłosierdzia, przy usilnych staraniach doktora, po kilku-miesięcznem leczeniu zaledwo przyszedł do zdrowia, lecz dla poniesionego kalectwa nie mógł, jak dawniéj oddawać się pracy. Wielkie to było umartwienie dla człowieka czynnego i przyzwyczajonego do roboty, z trudnością bowiem mógł już chodzić. Z pokorą wszakże i uległością, przyjął od Boga to dopuszczenie, oddając się odtąd ciągłym modlitwom, a jako zawsze gotowy do śmierci, i nie chcąc narazić dziedziców na wydatek i kłopot, sporządził sobie wcześnie trumnę, którą lat kilka przechowywał w ukryciu.

Wszystko to przekonywa o czystém sumieniu Tomaszka; kto albowiem każdéj chwili jest gotów umierać, musi być cnotliwym. Bóg wszakże często probuje i doświadcza cnoty, zsyła różne krzyżyki na swoich wybranych. Praca, zajęcie się dotąd były duszą naszego Tomaszka; teraz przez swe kalectwo pozbawiony został życia czynnego — nie rozpaczał jednak.

Nie mogąc się zajmować fizycznie, oddał się pracy umysłowéj; postanowił w godzinach wolnych od modlitwy i ręcznych robót uczyć dzieci, nadewszystko sieroty, pacierza, katechizmu i czytania, w czem mu też Bóg błogosławił, albowiem w wielu dzieciach zaszczepił pobożność, moralność, zamiłowanie cnoty i pracy. W takim stanie biedak przepędzał dzień cały na łóżku, lub w krześle, przywykły do ruchu i powietrza, a teraz jak ptaszek zamknięty w klatce.

Poczciwy Przełucki uważał siebie za kapitał, którego praca stanowiła procent. Z dopuszczenia Boskiego zostawszy kaleką, i coraz to mniéj będąc zdolnym do pracy, miał na sumieniu pobierać przeznaczoną sobie od dziedzica pensyą; oświadcza więc panu swemu, że gdy pracować nie może, prosi go, by mu już odtąd nie płacił. „Mam ja dzięki Bogu, rzecze poczciwy starowina, chleb powszedni u pana, mam dosyć odzienia i bielizny, a jeżeli mi czego zabraknie, to się udam do łaski jego.“

Ta nieinteresowność i poczciwość wiernego sługi mocno rozczuliła dziedzica, który nakoniec musiał się zgodzić na jego przełożenie, lecz postanowił corocznie odkładać jego pensyą, dla utworzenia dla niego summki emerytalnéj.

Wysłuchał nakoniec Bóg próśb pobożnéj i cnotliwéj duszy. Słabieć począł starzec co do ciała, i widział już zbliżającą się śmierć, któréj się nie lękał. Jako człowiek porządny zrobił rozporządzenie szczupłéj swej fortunki, przeznaczając część na chwałę Boską i swój pogrzeb, część dzieciom brata swego i ubogim. Wezwany do takowéj dyspozycyi za świadka dziedzic, znalazł tu zręczność oświadczyć Tomaszkowi, iż odkładana kilkoletnia jego płaca roczna, którą pobierać nie chciał jako kaleka,

wynosząca kilka set złotych, czeka teraz rozporządzenia, i podług woli jego użytą będzie.

Na te oświadczenia dziedzica, poczciwiec się rozpłakał, mówiąc: „Panie! ja trzem pokoleniom panów moich służąc, nie doznałem w życiu mojém od nich krzywdy, owszem zawsze łaskawi byliście na mnie. Miałem dzięki Bogu z czego żyć i wszelkie wygody; mało mam ja rodzeństwa, i to z łaski Boga ma się z czego utrzymać, i mniéj może potrzebuje, jak panowie, którzy macie wiele ciężarów, i macie kogo żywić. Nic mi od Pana nie należy od czasu mojéj choroby, przyjąć więc takowéj sumki nie mogę; niech ta pozostanie u pana na opłacenie jego interesów, lub na wyprawę starszéj panienki. O nie! te pieniądze do mnie nie należą, bo nie były przezemnie zapracowane!“

Dziedzic z rozczulonêm sercem słuchał tych wyrazów wiernego sługi, i rzekł do niego: „Kochany przyjacielu, jeżeli nie chcesz przyjąć tych pieniędzy, tem bardziéj ja ich od ciebie przyjąć nie mogę, jako zasłużonych twoją wiernością i przywiązaniem do domu mojego. Zgódź się więc, by te poświęcone zostały na dobre uczynki.

Oto w tym roku mam zamiar wystawić przy parafialnym kościele szpital dla starych i kalek włościan; niechże ten twój mały fundusik użyty będzie na takowy miłosierny uczynek, i niech się modlitwy ubóstwa wznoszą za twą duszę.“

Posłuszny zawsze Tomaszek swym panom, zgodził się nakoniec z wdzięcznością na przełożenie dziedzica — a tak gdy szpital stanął, ubodzy błagają codziennie Boga za duszę jego; albowiem Przelucki już w Panu spoczywa, najprzykładniéj opatrzony Sakramentami świętemi, które miał zwyczaj przyjmować co niedzielę i święta. Zwłoki jego przeprowadzone zostały z żalem powszechnym przez mieszkańców różnych wyznań do kościoła i na cmentarz, i złożone w mogile, którą dziedzic dla wiecznéj pamięci przykrył kamieniem, z wyrytym na nim napisem:

„*Tu leży Tomasz Przełucki, przez trzy pokolenia wierny swym panom sługa.*“

Menażerye w Warszawie w r. 1857.

—

Już dosyć dawno, bo przeszło lat 30, Warszawa nie widziała tak licznéj menażeryi, jak w roku bieżącym. Szczególnym zapewnie trafem w grudniu roku zeszłego dwóch właścicieli i pogromców dzikich zwierząt, z dwóch przeciwnych stron dążąc, stanęli prawie jednocześnie w naszem mieście; Kreutzberg z liczniejszą swą menażeryą przybył z Niemiec, zaś Barnabo z mniéj prawda liczną, lecz doborem zwierząt odznaczającą się, przybył z Cesarstwa. Jak wszystkie menażerye, tak i będące teraz w Warszawie głównie zaopatrują się w zwierzęta drapieżne większych wymiarów, odznaczające się siłą, odwagą, dzikością, które właściciele do pewnego stopnia obłaskawiwszy, popisują się z niemi przed widzami, podziwiającemi więcéj śmiałość człowieka, wystawiającego się często na wielkie niebezpieczeństwo, jak udane i wymuszone posłuszeństwo dzikich i nieulękłych mieszkańców pustyń.

W niniejszym artykule zamierzyliśmy obeznać naszych czytelników z osobliwościami znajdującemi się w obu goszczących u nas menażeryach.

Zaczynamy od zwierząt drapieżnych, jako stanowiących główną ich podstawę.

Lwy. Sierść lwa jest pospolicie jednostajnie płowa, wierzch głowy i szyję dorosłego okrywa gęsta grzywa, na reszcie ciała włos krótki, ogon kończy się gęstym kosmykiem włosów, lwica jest bez grzywy. W dawnych czasach lew zamieszkiwał w Europie południowéj, i żył na całem południu Azyi, od Syryi do rz. Ganges. Dziś w Europie zupełnie wyginął, a w innych krajach nie jest nawet pospolitym. Cały więc gatunek przebywa tylko głównie w Afryce, a i w tej części ziemi w miarę zwiększania się ludności uchodzi w pustynie. Lew swobodnie w pustyniach żyjący, mając obfitą żywność dorasta 9 stóp długości, zwyczajna jednak jego długość nie przechodzi 6, a wysokość $3\frac{1}{2}$ stopy. Głos lwa jest przerażający, na jego ryk wszystkie zwierzęta w okolicy truchleją. Przybierając groźną postawę, marszczy czoło, podnosi wargi, wyszczerza zęby i parska jak kot. W gniewie oczy mu się iskrzą, grzywa najeża się, ogonem bije się w boki, paszczę otwiera, język najeżony kolcami wywiesza, zniża się i kładzie na tylnych łapach, czatując nieporuszony, i kiwając ogonem w prawo i w lewo. Biada temu stworzeniu, na które lew w takiém położeniu czatuje. Złapany lew staje się nadzwyczaj bojaźliwym, można go wtenczas wiązać, włożyć na pysk kaganiec i prowadzić, gdzie się podoba.

Młodo złowiony łatwo się oswaja, okazuje niejakie przywiązanie do pana i dosyć jest pojętny.

Tygrysy, Jaguary, Lamparty i Pantery.

Ten oddział zwierząt drapieżnych, jest dosyć liczny w obu menażeryach, lecz na szczególną uwagę zasługują *tygrysy królewskie* i *jaguary*, bo inne częściéj się widzieć zdarza.

Tygrys królewski czyli bengalski jest koloru jasno-żółtego z wierzchu, pod spodem czysto białego, wszędzie wpoprzek niejednostajnie czarno-pręgowany. Zamieszkuje Indye Wschodnie i wyspy przyległe, tudzież pustynie między Chinami i wschodnią Syberyą. Zwykłem miejscem zasadzki tygrysa są nadbrzeża rzek i jezior, gdzie przebywają antylopy i inne zwierzęta dla ochłody w czasie skwaru słońca. Polowanie na tygrysy w Indyach należy do zabaw królewskich; wybierają się na nie na słoniach do tego przyuczonych. Pomimo wszelkiéj ostrożności, prawie zawsze zdarzają się nieszczęśliwe wypadki, i często tygrys porwawszy strzelca ze słonia, suwa z nim w gęstwinę, albo porwawszy za trąbę, powala o ziemię młodego i niedoświadczonego słonia. Złapany młodo łatwo się oswaja, poznaje pana, pieści się z nim i jak pies przywiązuje do niego. Niektóre z tygrysów tu będących, urodziły się już w menażeryach, i takie łatwiéj oswojone być mogły.

Jaguar zwany jeszcze *tygrysem Amerykańskim*, po lwie i tygrysie królewskim jest największym między drapieżnemi. Długość jego wynosi 6 stóp, pokrycie jasno-płowe z wierzchu, oznaczone czarnemi plamami, ułożonemi po 4 lub 5 w rzędy poprzeczne po obu stronach ciała. Jaguar zamieszkuje Amerykę południową, przebywa nad rzekami, równie jak tygrys bengalski, pływa dobrze. Polują na niego albo z bronią palną, albo za pomocą tak zwanego *lasse*, czyli sznura skórzanego kilkanaście łokci długiego, a mającego w jednym końcu żelazną kulę. Człowiek konno ściga jaguara, zarzuca mu ów sznur na szyję z taką zręcznością, iż rzadko chybia, a potem go w galopie ciągnie za sobą i dusi.

Hieny. Z trzech gatunków hien, które naturaliści opisują, najpospoliciéj po menażeryach okazują nam hienę pręgowaną. Zamieszkuje ona Barbaryą, Egipt, Nubią, Syrją i Persyą. Hieny należą do tych zwierząt, o których dawniéj mnóstwo niedorzecznych baśni pozmyślano. I tak mówiono, że te zwierzęta naśladują głos ludzki, że wzrokiem swym czarują, uciekających ludzi zatrzymują, a potem doganiają i nielitościwie pożerają. Przypisywano im nadzwyczajną siłę i dzikość, tak dalece, że się nigdy oswoić nie dają. Dokładniejsze opisy przekonały, że hieny pręgowane są istotnie dzikie i żarłoczne stworzenia, ale bardziéj lękliwe, jak nasze wilki; żywią się tylko nieżywemi zwierzętami, i dlatego odkopują czasem ciała ludzkie po cmentarzach. W nocy wychodzą na żer, i wtenczas zbliżają się do mieszkań ludzkich, lecz jedynie dla pożerania wszelkich nieczystości, znajdujących się zwykle około domów.

Dwa inne gatunki hien, to jest *abissyńska i kropkowana* przebywają tylko w Afryce, ostatnia na przylądku Dobréj Nadziei, z tych abisyńska jest największą i najśmielszą.

Niedźwiedzie. W menażeryach zwykle nam pokazują niedźwiedzie amerykańskie i białe, czyli północne z brzegów Lodowatego morza. Europejski gatunek *niedźwiedź kasztanowaty*, dobrze nam jest znany, bo go często u nas oprowadzają tak zwani niedźwiedziarze, którzy łapią młode niedźwiedzie, oswajają i wyuczają różnych skoków. Niedźwiedzie amerykańskie są czarne, średniéj wielkości i nie należą do strasznych zwierząt; dostarczają w kupiectwie lekkich i ciepłych futer, zwanych *niedźwiadkami.* Do większych i osobliwych u nas gatunków należą *niedźwiedzie białe* czyli *polarne*; te żyją w podbiegunowych krajach Europy, Azyi i Ameryki, wytrzymują największe zimno, i dlatego trzymane w menażeryi, a szczególniéj w lato, muszą być polewane zimną wodą dla chłodzenia się. Jest to rzeczywiście zwierz bardzo drapieżny, rzuca się z wściekłością na ludzi, bo żyjąc w niezamieszkanych krajach, nie zna niebezpieczeństwa, na jakie narażone są inne zwierzęta, na które człowiek poluje. Pożywieniem polarnego niedźwiedzia są ryby i mniejsze foki, za któremi niekiedy parę wiorst zapuszcza się w morze.

Ze *zwierząt gruboskórnych* mamy w menażeryi *Słonie* i *Nosorożca indyjskiego. Słoń*, którego dwa gatunki jeszcze na ziemi żyje, to jest *afrykański* i *indyjski* już w Czytelni z roku przeszłego szczegółowo był opisany (Nro 24); tu zatém wspomnimy tylko, że znajdujące się tu słonie należą do gatunku indyjskiego, a jako zwierzęta z natury swéj łagodne i pojętne, wie-

łu rzeczy nauczyć się dają, i z tego względu głównie wzbudzają podziwienie.

Nosorożec. Co do wielkości trzyma pierwsze miejsce po słoniu, bywa bowiem 10 stóp długi, a 6 wysoki. Nazwisko tego zwierza pochodzi od rogu wyrastającego na nosie, który bywa do 2 stóp długi i jest w tył łukowato zgięty. Rogów tych bywa 1 lub 2; jeżeli są dwa rogi, stoją one jeden za drugim, a górny jest zawsze mniejszy. Nosorożec indyjski ma tylko jeden róg; afrykański zaś i sumatryjski mają po dwa rogi. Pierwszy odróżnia się jeszcze od 2ch ostatnich, że ma skórę na przodzie jakby popękaną, a w tyle łopatek dwie głębokie szpary; w tych zgięciach tylko skóra jest miękka, w innych zaś tak twarda, że ją kula karabinowa nie przebija. Nosorożec żyje samotnie w lasach nad jeziorami i rzekami przy bagnach, w których tarzać się lubi. Żywi się liśćmi i korzeniami krzewów i roślin, ale nie zdaje się być prawdą, aby do wyrywania korzonków, używał rogu, bo ten zanadto jest w tył zgięty; wyrywa więc korzonki i obrywa liście wargą górną. Użytki z nosorożców są: róg używa się na różne wyroby — w Indjach przedtém wyrabiano z tego rogu kubki do picia, i te miały wielką wartość, bo sądzono, że one posiadały własność zniszczenia trucizny; dziś przesąd ten ustał. Mięso nosorożca jadalne, ze skóry wyrabiają pasy do powozów.

Do znakomitych osobliwości menażeryjnych należą ze *zwierząt przeżuwających* znajdujące się obecnie u nas *Girafy*, *Antylopa wielka* i *Wół* zwany *Zebu*.

Girafa zwana także *jeleniopardem*, z powodu ubarwienia skóry podobnego do jelenia i pantery, odznacza się nadzwyczajną wysokością przodu ciała, bo 18 stóp wynoszącą. Żyje w południowéj i wschodniéj Afryce, żywi się trawą, a szczególniéj liśćmi różnych gatunków akacyj. Jest prawdziwą ozdobą pustyń, mięso ma smaczne, skóra daje dobry rzemień, a szpik uważają Hottentoci (mieszkańcy południowéj Afryki) za wielki przysmak.

Antylopa. Z przywiezionych przez Kreutzberga dwóch antylop tegoż gatunku, to jest samca i samicy, pozostała jeszcze przy życiu samica; samiec zaś już wypchany, zdobi gabinet zoologiczny w Kazimierowskim pałacu.

Antylopy należą do oddziału bydła, to jest zwierząt mających na głowie rogi niespadające. Liczne są gatunki antylop, a żaden oswoić się zupełnie i na domowe zwierzę zamienić nie dał. W Europie żyją dwa gatunki, jeden zwany *gemzą* albo ant. skalną, przebywa w górach, jakoto w Karpatach, Alpach, Pireneach i na Kaukazie; drugi gatunek *ant. Suhak* dosyć obficie znajdował się na Ukrainie, teraz po zaludnieniu tych stepów, posunął się daléj i żyje licznemi stadami, czasem po kilka tysięcy razem, na obszernych stepach między Dnieprem i Donem, aż do Astrachanu. Największe gatunki żyją w Afryce, i do tych należy wyżéj wspomniana w menażeryi, równie jak poprzednio już nabyta do gabinetu *Ant. Gnu* zwana *koniem rogatym.*

Wół garbaty czyli *Zebu* jest uważany za odmianę zwyczajnego wołu i żyje w Azyi, począwszy od Indyj Wschodnich, tudzież w całéj Afryce.

Z działu zwierząt przeżuwających, ubył też menażeryi piękny *Jeleń indyjski* zwany *Aksa*, a za to doskonale wypchany, niemałą jest ozdobą gabinetu Zoologicznego.

Wymienione powyżéj zwierzęta są najważniejszemi i stanowią główną wartość menażeryi. Oprócz nich są jeszcze małpy, należące zwykle do pospolitszych gatunków, jakiemi są: *Pawiany*, *Magoty*, *Krętogony*, czyli małpeczki z długiemi chwytnemi ogonami. Kilkanaście papug, należących do oddziału *Kakadu*, i *Ara* czyli kruki indyjskie, wreszcie parę krokodylów i wężów do rodzaju *połozowęża* należących.

Litość wynagrodzona.

—

Czyń dobrze — na pożytek pewnie ci to wyjdzie;
Choć nie żądasz nagrody, sama ona przyjdzie. —

Stanisław i Julian synowie właściciela niewielkiéj posiadłości na prowincyi, utracili kolejno ojca i matkę, skutkiem czego odziedziczyli przed parą laty pozostały po nich majątek; ale że trudno im było obudwu gospodarować na małym folwarczku, zwłaszcza, że jeden z nich urzędował w Warszawie, zgodzili się przeto na sprzedaż pozostałości, którą uskuteczniwszy, podzielili się pieniędzmi. Przy wzajemnych jednak układach, żaden z nich nie napomykał, że pozostawała w domu biedna istota, stara, niedołężna i schorowana. Istotą tą była macocha ich ojca, którą ten za życia otaczał należnemi jéj kalectwu i wiekowi względami i opieką.

Obadwaj spadkobiercy, dalecy od ocenienia swych obowiązków względem zacnéj staruszki, która ich ojca jak własnego syna kochała, u ważali ją raczéj za niedogodny ciężar, jakim żaden z nich nie chciał się obarczyć. Stanisław tłumaczył się tem, że urzędującemu w Warszawie niepodobna brać do siebie niedołężnéj kaleki, kiedy fundusze, jakie posiada, zaledwie jemu samemu na przyzwoite utrzymanie wystarczają; że dla niéj musiałby przyjąć oddzielną służącą, brać większe mieszkanie, i żywić niepotrzebnie dwie osoby, na nic mu nieprzydatne, przy takiéj zwłaszcza drożyznie wszelkich artykułów do życia.

Juljan znów usprawiedliwiał się tem, że jakkolwiek mieszka na wsi, ma jednakże zbyt szczupły dworek, aby w nim obok żony, którą zamierzał pojąć, znalazł się jakikolwiek kącik na jéj pomieszczenie; że to mogłoby nawet przeszkodzić mu w zawarciu zamierzonego korzystnego małżeństwa, na którem nadzieje swe budował.

Obadwaj więc obmyślali wszelkie możliwe środki, iżby się od owego, jak nazywali, ciężaru uwolnić, chociażby przyszło oddać biedną tę kobietę do domu przytułku dla Starców i Kalek; i tak w zaślepieniu swojém, chcieli dobroczynnością publiczną, spłacić dług od nich zacnéj staruszce należny.

Na szczęście, wpośród tych niecnych braterskich targów, dawna służąca zmarłego ich ojca, ktora była wyszła za uczciwego rzemieślnika w przyległém miasteczku, zgorszona postępowaniem synów dawnego swego pana, i pamiętna dobrodziejstw od niego otrzymywanych, przybyła zabrać do siebie nieszczęśliwą kalekę (na co obaj bracia chętnie przystali), i w domu swoim otaczała ją troskliwością i wygodami, jakie były w jéj możności, aż do chwili jéj zgonu, który coś w rok potem nastąpił.

Wkilka tygodni po śmierci staruszki, Rejent w miasteczku tem urzędujący, otrzymał przez pośrednictwo władzy sądowéj zawiadomienie od Notaryusza z Nowego Jorku (w Ameryce), iż niejaki Pan Bogumił rodem z Polski, z owego miasteczka, ostatnio obywatel i kupiec bławatny w Nowym Jorku, zmarł także bezpotomnie, pozostawiając majątek 30,000 dollarow (1) wynoszący; i że on, stósownie do ostatniéj woli zmarłego, przesyła władzom sądowym Królestwa polskiego, odpis testamentu swojego klijenta, z prośbą o otworzenie takowego wobec zebranych członków familii testatora.

Ponieważ pan Bogumił był stryjem znajomych nam młodzieńców Stanisława i Juljana, Rejent przeto miejscowy, dał im znać o tem, co zaszło. Ci, którym podobna wiadomość była nader pożądaną, gdyż jak to widzieliśmy, cenili wyżéj pieniądze nad obowiązek i sumienie, przybyli skwapliwie, i otwarcie testamentu nastąpiło bezzwłocznie w ich przytomności; lecz sami osądzicie jak przykrego doznali zawodu, gdy im odczytano testament tej treści:

„Ostatnie wypadki krajowe, zapędziły mię zdala od méj ojczyzny, i stały się powodem przerwania wszelkich stosunków z rodziną; lecz Bóg mi świadkiem, jak często myślałem o niéj, o dobréj méj matce, którą opuściłem młodzieńcem, a któréj rąk już nie ucałuję, o starszym bracie moim Michale, i o moich synowcach, których jeszcze w kolebce zostawiłem. Dziś, kiedy Bóg mi pozwolił dorobić się znacznéj fortuny pod obcem niebem, a w oddaleniu mojem, nie wiem, kto z méj familii pozostaje przy życiu, pragnąc wynagrodzić mimowolne zaniedbanie obowiązków synowskich, przekazuję zapracowany uczciwie majątek, tym, którzy miejsce moje, przy dobréj méj matce zastępowali.

Jakoż niniejszem cały mój majątek wynoszący 30,000 dollarów, zapisuję na wyłączną własność osoby, która póżne dni jéj pielęgnowała.“

Zacna rzemieślniczka, która miłosierny ów uczynek z szlachetnego popędu serca spełniła, bez żadnéj ziemskiej rachuby, nie pomału została zdziwioną, gdy jej szczęśliwą a niespodziewaną udzielono wiadomość o odziedziczeniu tak znakomitego spadku; nasi zaś dwaj bracia, którzy w drodze budowali tysiące zamków na lodzie, powrócili do siebie, okryci wstydem i z gołemi rękoma.

Ponieważ wypadek ten stał się w okolicy głośnym, doszedł więc wkrótce do wiadomości rodziców narzeczonéj Juljana — a ci oceniając jak należy jego charakter, napisali do niego grzeczny list, uprzedzając, iżby się nadal do ich domu nie trudził; że bacząc na szczęście swéj jedynaczki, nie mogą jéj wydawać za człowieka, co nie umiał uszanować siwych włosów i kalectwa zacnéj staruszki, tak zbliska go obchodzącéj.

(1) Dollar jestto moneta amerykańska, wynosi na naszą monetę złp. 9 czyli rs. 1 kop. 35. A zatem 30,000 dollarów czynią zł. 270,000 czyli rs. 40,500.

Tak więc pana Juljana ominął na raz i znakomity spadek i niemniéj bogate wiano. Co do jego brata, ten wstyd swój ukrył w stolicy.

Dałby Bóg, iżby nauczka, którą otrzymali, oczyściła ich serca z brudnego samolubstwa, a wam moi czytelnicy, poszła na pożytek.

Z prawdziwego zdarzenia.

— —

Na zegarze zamkowym wybiła godzina pierwsza po północy, a jeszcze migało mdławe światełko, na Starem-mieście w oknie czwartego piętra. Zajrzyjmy do tego schronienia cnoty i pracy.

W małéj ale schludnéj izdebce nie było widać nędzy, bo czystość i porządek nadawały wartość każdemu sprzęcikowi. Niedaleko drzwi stała szafka z naczyniami kuchennemi, w któréj wszystko poustawiane starannie świadczyło o czynności gospodyni; dalej przy ścianie było łóżko przykryte białą kołdrą, a nad łóżkiem wisiał obraz, przedstawiający Zbawiciela, jedyną ucieczkę nieszczęśliwych. Na drugiéj stronie stała szeroka szafa obstawiona krzesełkami, która w dzień służyła do siedzenia, w nocy zaś sypiało na niej trzech chłopczyków jasno-włosych. Najstarszy z nich Józio kończył lat 12cie, Michaś 5, a najmłodszy 4ry. Na środku stancyi stał stół założony robotą, przy którym siedziała pani Drwaleska wdowa po urzędniku, zajęta pilnie robotą. Niedość dla niej było dnia, pracowała i w nocy, aby swe dzieci ochronić od nędzy; obok pracy na chleb codzienny zajmowała się jeszcze starannem wychowywaniem swych dzieci. Nie padały jej słowa na złą rolę, serce Józia w tak młodym wieku poznało poświęcenie matki, i w czem mógł, pomagał jej, zastępując nie raz miejsce służebnika.

W tym samym domu mieszkał zamożny szewc z kilkorgiem dzieci. Józio często bawił się z jego synami, a zapatrując się na ich dobry byt z uczciwéj pracy pochodzący, nabrał chęci zostania rzemieślnikiem. Chłopczyk pojął wcześnie, że praca najdzielniejszym jest środkiem do wyrobienia sobie szczęścia; lecz każdy z ludzi ma jakiś wyłączny dar od natury, i gdy człowiek znajdzie zawód odpowiedni jego usposobieniu, praca staje się lżejszą, i sprawia prawdziwe szczęście. Nieraz prosił Józio matki, żeby go oddała do terminu, ale pani Drwaleska nie mogła oswoić się z tą myślą, aby powierzyć dziecko w obce ręce, bez gruntownej początkowéj nauki. Wpierw chciała umocnić dobre zasady, oświecić umysł, a potem pokierować go na rzemieślnika.. Ale wdowie trudno szło z nauką, wiele bowiem pociągała za sobą kosztów, a uboga kobieta nie mogła wystarczyć wszystkim potrzebom.

I właśnie téj nocy, kiedy tak śpiesznie wykończyła robotę, około drugiéj godziny obudził się Józio, a zobaczywszy matkę pracującą, postanowił koniecznie poszukać dla siebie miejsca; nie spał do samego rana układając w myśli, jak w tym razie postąpić należy? O godzinie szóstej jeszcze spała pani Drwaleska; wstał chłopczyk, ubrał się czysto i ucałowawszy na pożegnanie ręce matki, wyszedł cichutko z izdebki.

Po drodze wstąpił do sąsiadki i prosił, żeby uspokoiła matkę, że on niedługo powróci, a pod sekretem przyznał się do swego zamiaru; zbiegł ze wschodów i udał się prosto na Podwal. Chodził tu od majstra do majstra, aż znalazł miejsce u szewca, lecz niezupełnie odpowiadające jego życzeniom. Majster przyjął Józia do siebie więcej do usługi, niż do nauki. Niesumiennie to było z jego strony zabierać czas młodemu chłopcu na własny użytek, bo czas więcéj znaczy niż pieniądze, i zmarnowany nie da się niczem wynagrodzić. Tymczasem pani Drwaleska dowiedziawszy się o zamiarach syna, uczuła żal serdeczny, ale cóż miała robić?— poleciwszy go Bogu, oczekiwała powrotu jego z niecierpliwością.

Niedługo przyszedł Józio z miną uradowaną, przeprosił matkę za swój postępek i upewnił ją, że ma dobre miejsce, w którém nauczy się rzemiosła, i w przyszłości zapewni jej byt lepszy. Pożegnawszy w końcu najczulej matkę i rodzeństwo, poszedł do swego obowiązku.

Od tej pory rozpoczęło się smutne życie chłopczyka, gdyż majster nie zapisał go do cechu, i nie posyłał do szkoły Niedzielnéj; w miejsce uczenia używał go do posług i ciężkiéj pracy. Chodził chłopczyna po kilka godzin głodny za interesami majstra, a za powrotem odbierał często gęsto kary niezasłużone. Nietylko w dzień praca uciskała Józia, i w nocy musiał kołysać i piastować dzieci. Nieraz gdy zmęczony zaspał i nie mógł od razu się obudzić na głos majstrowéj, zrywał się szewc z gniewem, i porwawszy za uszy, prowadził do kolebki rozgrymaszonego dziecka.

Cierpiał chłopczyna wiele, a nigdy się nie skarżył przed matką nie chcąc jej martwić, i w takim ucisku upłynęło mu lat parę. W przeciągu tego czasu pracowity i pobożny chłopczyk jednał serca otaczających. Lubiła go czeladź, lubiły go dzieci, a nawet sam majster nie mógł się wychwalić przed znajomemi. Szczególnie zwracał uwagę na Józia pan Paweł, szewc z za Żelaznéj bramy, który tu często bywając, ocenił przymioty chłopczyka. Otóż ten pan Paweł nie mając dzieci, potrzebował pomocy i pociechy na starość; skoro poznał zasady Józia, udał się do jego matki, prosząc, żeby mu powierzyła syna. Z chęcią przyjęła pani Drwaleska żądanie uczciwego człowieka, i pomimo gniewu i niechęci pierwszego majstra, odebrała syna do domu doznajoméj nam izdebki. Wypoczął Józio czas jakiś, a potém przyjął nowy obowiązek u p. Pawła. Cnota i wytrwała praca prędzéj lub później nagrodzoną bywa, i Józio znalazł prawdziwie ojcowską opiekę; bo nietylko uczył się rzemiosła, ale prócz tego prywatnie i innych nauk, tak potrzebnych każdemu człowiekowi. Po kilku latach pan Paweł zdał warsztat na Józia i zapisał mu cały zbiór swéj pracy. Dobry syn wziął matkę do siebie i braci, aby całej rodzinie zapewnić spokojność i szczęście domowe. A poczciwy pan Paweł kochany i szanowany dokończył żywota, jak prawdziwy chrześcianin, na łonie swego wychowańca.

Do szanownych Państwa, co Czytelnię Niedzielną zaprowadzili.

(Artykuł nadesłany).

Ja niżéj podpisany, serdecznie lubię *Czytelnię Niedzielną*; już w sobotę wieczór oczekuję na nią, jak kania deszczu.

Otóż łaskawych państwa pokornie proszę, żeby wydrukowali tę książkę, co niedawno znalazłem w skrzyncę po moim ojcu, a spisana ręką jeszcze nieboszczyka ojca jego.

Miał on zwyczaj, że co tylko przez cały tydzień ciekawego widział, co tylko usłyszał dobrego, w niedzielę zapisywał sobie w téj książce. Niech państwo przekonają się, że to prawda, bo na samym początku dużemi literami napisał mój dziadek: *Różności Tygodniowe, spisywane w niedzielę przez majstra mularskiego Jana Rychlaka.* Państwo będą łaskawi popoprawiać niektóre zmyłki, (1) bo za czasów mego dziadka nie było jeszcze *szkoły rzemieślniczej niedzielnej*, więc niedziwota, że nie umiał tak ekspedyte pisać jak ja, co temu dwa lata otrzymałem w téj szkole nagrodę, proszę państwa. Jakaż to będzie dla mnie uciecha, jeżeli której niedzieli, biorę do ręki *Czytelnią*, patrzę, a w niej wydrukowane mego dziadka *Różności tygodniowe!* Toż się będę chwalić przed kolegami, że to ja się tém przysłużył; boć mnie się widzi, że te *Różności*, bardzo się nam wszystkim przydadzą. Kłaniam uniżenie państwu Dobrodziejstwu.

Piotr Rychlak, czeladnik mularski.

Zdania.

1. Cnotliwa starość jest spokojną, nie zna ani żądzy, ani bojaźni; owszem cieszy się, że się usuwa zawada, która ją oddzielała od Boga.

2. Wielu rzeczy nie dostaje ubogiemu, ale łakomemu wszystkiego.

3. W mniejszych to tylko smutkach można się z żalami rozwodzić; żal wielki tamuje słowa.

4. Kto umie znieść cierpienie, ten jego ciężar o połowę zmniejsza.

5. Wstydliwość jest najbogatszym strojem kobiety.

6. Przebaczaj innym zawsze, a sobie nigdy.

7. Łzy przynoszą ulgę w cierpieniu.

8. Mądry jest stały, ale nie uparty.

9. Komu sumienie nie grozi, kogóż się ów bać będzie?

10. Nie jeden rozrzuca w jednym dniu tyle, czemby los cały wielu nieszczęśliwych polepszyć można.

11. Dobry uczynek nigdy nie zginie.

12. Kto uczciwie żyje, ten długo żyje.

13. Lepiéj jest wstydzić się złego, nim jepopełnisz, niż za niezałować już po wykonaniu.

---

(1) Stosownie do tego żądania, Redakcya poczyniła właściwe poprawki, i po dopełnieniu tego, kolejno Różności tygodniowe zamieszczać będzie.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 14 (26) lutego 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.